

(" Córka ")

Przeżycia mojej rodziny we Lwowie "wyzwolonym" przez Sowietów.

W czasie tzw. "wyzwalania" Lwowa przez armię sowiecką, w 1944 r. miałam 14 lat.

Pamiętam tych "wyzwolicieli", którzy pojawili się na ulicach miasta tacy sami, jak we wrześniu 1939 roku, niechlujnie wyglądający, w pomiętych, wystrzępionych mundurach.

Co gorsza, zachowywali się tak samo jak w czasie pierwszej okupacji. Byli wciąż takimi samymi wrogami, chociaż teraz mówili o przyjaźni polsko-radzieckiej.

Zaczęły się znowu ich perfidne praktyki, np. podstępne uwięzienie wybitnych działaczy AK, zaproszonych na oficjalne spotkanie z przedstawicielami władz radzieckich.

Na murach miasta rozlepiono afisze nazywające żołnierzy AK "faszystami".

Nasi chłopcy z AK, którzy samorzutnie przygotowywali miasto do wkroczenia wschodniego "sprzymierzeńca", byli teraz aresztowani i wywożeni w głąb Rosji.

Wschodnie ziemie przedwojennej Polski sowiecki "sojusznik" ogłosił częścią terytorium ZSRR, a zamieszkałych na nich Polaków siłą "repatriował" na zachód.

Wielu mieszkańców Lwowa nie chciało opuścić swojego miasta. "Zachęcano" więc ich do tego masowymi aresztowaniami, które nastąpiły z początkiem 1945 roku.

Ponieważ nasza rodzina nie zdradzała ochoty do wyjazdu ze Lwowa, wśród aresztowanych znalazł się mój ojciec.

Zima tego roku była bardzo mroźna. Odczuwałam to szczególnie dotkliwie wtedy, gdy o świcie wychodziłyśmy z mamą i siostrą z domu, aby ustawić się w długiej kolejce przy bramie więzienia przy ulicy Jachowicza, w pobliżu słynnych "Brygádek". Czekaliśmy tam w tłumie ludzi codziennie przez wiele godzin usiłując dostarczyć paczkę z żywnością dla aresztowanego.

Nie zawsze udawało się to osiągnąć. Pamiętam ręce sowieckiego żołdaka odpychające moją mamę spod bramy więzienia.

Dopiero po trzech dobach od momentu aresztowania zdołałyśmy ustalić miejsce pobytu ojca i dostarczyć mu trochę jedzenia.

Potem, po wielu tygodniach, po cudownym zwolnieniu ojca, dowiedzialiśmy się od niego, jakie były warunki w "jego" więzieniu i "jego" celi. Nie było mowy o tym, żeby swobodnie stać na dwóch nogach, żeby usiąść lub położyć się, gdyż pomieszczenie było po brzegi wypełnione aresztowanymi. Więźniowie zatem podzielili się na grupy i gdy jedna z nich stała, druga z trudem mogła usiąść na betonowej posadzce, a po pewnym czasie następowała "zmiana warty". Ponieważ jedynym "państwowym wiktem" była woda, dostarczana więźniom w małych ilościach, ci, którym udało się otrzymać od rodzin paczki z żywnością, dzielili się z pozostałymi. Dzięki temu, mój ojciec najpierw korzystał z pomocy współwięźniów, a potem sam im pomagał. Zdarzały się też nagłe śmierci tych, którzy nie mogli znieść tych potwornych warunków. Wówczas ciała ich były z celi wywlekane za nogi, a towarzysze niedoli patrzyli na to makabryczne widowisko i słuchli stukotu głowy zmarłego o więzienną posadzkę.

Sytuacja była tragiczna. Więźniowie byli coraz bardziej wyczerpani. Zdywaliśmy się sobie sprawę z tego, że więzienie jest tylko "poczekalnią" na deportację. A transporty na wschód szły wówczas nieustannie. Wielu wywożonych umierało z mrozu i głodu w bydłych wagonach w czasie tej "krzyżowej drogi" do odległych miejsc przeznaczenia, a ci, którzy tam dotarli, ginęli z wycieńczenia, ciężkiej, fizycznej pracy i nieludzkiego traktowania.

Wiedzialiśmy, że, jeżeli ojciec przeżyje więzienie i wywozą go, to zginie, bo ma za mało sił fizycznych i psychicznych na tę "wschodnią przygodę".

Każdy dzień i każda noc były koszmarem. Każde dostarczenie więziennej paczki - ulgą, że może jeszcze żyje i nie został wywieziony, skoro przyjęto dla niego żywność.

Matka "walczyła", jak mogła o uwolnienie ojca, pisząc podania do różnych instancji więziennych. Podania te pomagała jej pisać po rosyjsku Nata - Rosjanka, którą wraz z mężem i dzieckiem dokwaterowano do naszego mieszkania po aresztowaniu ojca. Rosjanie ci byli miłymi, uczciwymi ludźmi, bardzo biednymi, wyniszczonymi przeżyciami wojennymi i panującymi w ich kraju nieludzkimi stosunkami, o których szczerze nam opowiadali.

Nie można było zaniedbać żadnej okazji wydostania ojca z więzienia. Dlatego też matka, dowiedziawszy się, że pewna "ustosunkowana"

rosyjska lekarka bierze łapówki za obietnicę ocalenia więźnia, poszła do niej z dużą sumą 5 tysięcy rubli (uzyskaną ze sprzedaży resztek biżuterii). Łapówkę przyjęto i polecono mamie zgłosić się po wiadomości w określonym terminie. A kiedy poszła tam w wyznaczonym dniu, okazało się, że po owej lekarce nie ma śladu, bo nagle zniknęła z domu Polki, u której mieszkała, uprzątnowszy uprzednio mieszkanie i kilimów oraz innych wartościowych przedmiotów należących do gospodyni.

Ponieważ "przyrodzone" środki nie dawały żadnego rezultatu, mama wraz z nami zaczęła uciekać się do nadprzyrodzonego sposobu na wszelkie zło - do modlitwy.

I chyba ten właśnie środek okazał się skuteczny, bo oto wkrótce ojca, jako podejrzanego o tyfus, przewieziono, wraz z kilkoma chorymi więźniami, do zakaźnego szpitala na Łyczakowie.

Pracowały tam jeszcze jako pielęgniarki polskie siostry zakonne. Byli tam również polscy lekarze.

Personel ten zaopiekował się serdecznie wszystkimi więźniami. Była więc czysta bielizna zamiast zawszonych ubrań, były łóżka z czystą pościelą, ciepłe jedzenie i kąpiel. Siostry zakonne umożliwiały nam widywanie się z ojcem, którego wprawdzie, podobnie jak innych więziennych pacjentów, pilnował uzbrojony strażnik sowiecki, ale niezbyt groźny, skoro kiedyś udało się siostronom namówić go na wódeczkę, a potem na kąpiel w łazience. I kiedy rozkoszował się "banią", zdołali uciec przez okna młodsi od ojca więźniowie, przebrani przez zakonnice w kobiece stroje.

Ojciec, z siwą, długą brodą, która wyrosła mu w więzieniu, pilnowany był wciąż przez czerwonooarmiejca, który z czasem przywykł do "swojego starika" i nawet pocieszał go, mówiąc, że pewnie będzie mógł wyjechać do Polski, wolnej "kac Mongolia".

W szpitalu okazało się, że rzekomy tyfus ojca nie jest tą chorobą, którą sugerowała wysoka gorączka, spowodowana potwornym zmęczeniem oraz wszy, których nabawił się w więzieniu. Polscy lekarze ukryli to jednak i "leczyli" ojca razem z naprawdę chorymi na tyfus.

Po kilku tygodniach, przewidzianych na leczenie, dyrekcja szpitala zawiadomiła więzienie przy ulicy Jachowicza, że wyleczonego pacjenta można już zabrać. I oto, kiedy nocą przyszli po ojca enkawudziści,

okazało się, że zachorował on nagle na ciężkie zapalenie żył w obu nogach, naprawdę bardzo spuchniętych i obolałych. Delegaci więziennych władz zostawili go więc nadal w szpitalu.

I jeszcze raz, po kilku tygodniach, powtórzyła się podobna historia, kiedy ojciec znowu, jako wyleczony, został przez szpital pisemnie oddany rosyjskim władzom więziennym do dyspozycji. Znowu przysli po niego w nocy enkawudziści i znowu okazało się, że ojciec zachorował, dostał bowiem tej nocy ciężkiego, obustronnego zapalenia okostnej. Miał wysoką gorączkę i był monstrualnie opuchnięty. Wyglądał bardzo staro, bo więzienna broda była całkiem biała. Machnięto więc ręką na tego niedołęznego "starika" i ... zwolniono go z więzienia.

Kiedy z wiadomością tą rankiem dotarła do naszego mieszkania jedna z zakonnych pielęgniarek, popłakałyśmy się ze szczęścia wszystkie - razem z nią i z "naszą" Natą.

I tak spełniły się słowa sowieckiego strażnika, który przepowiedział ojcu, że pojedzie "do Polski".

Już teraz nie broniliśmy się przed tzw. "repatriacją", bo wiedzieliśmy, że jeśli nie pojedziemy na zachód, to wywiozą nas na wschód.

A ponieważ funkcjonariusze więzienni z ulicy Jachowicza interesowali się tym, że wciąż jeszcze jesteśmy we Lwowie, pośpieszyliśmy się z wyjazdem. Rodzice nie czekali na żaden "repatriacyjny" transport, ale wynajętą ciężarówką, z nami i kilkoma walizkami wyruszyli przed siebie w nieznaną, zastanawiając się po drodze, gdzie wysiąść.

I tak pierwszym etapem naszej podróży stał się najpierw, na krótko, Łańcut, a potem, na długo, Rzeszów,

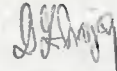
Trudne bało to "wkorzenianie się" w obce miejsca, chociaż na ojczystej przeciwieź ziemi.

Długo towarzyszyła nam bieda, bo rodzice stracili cały dorobek swojego uczciwego, pracowitego życia. Nigdy jednak nad tym nie boleli, natomiast często mówili o swojej wdzięczności dla Boga za cudowne ocalenie ojca.

Wciąż jednak marzyli o powrocie do swojego rodzinnego miasta, do którego bardzo tęsknili. Marzenie to nigdy nie spełniło się. Przytuliła ich na zawsze ziemia rzeszowskiego cmentarza.

A my obie z siostrą znalazłyśmy się na ścieżkach i po nich w mieście, którego każdy kamień mówi o polskiej przeszłości - w Krakowie. Ale wszystkie nasze dawne wspomnienia, radosne i bolesne, związane są z tamtą, wschodnią, kręśową, serdeczną ziemią, krajem lat naszych dziecinnych.

("Córka")



Danuta Zbroja

ul. Kmieca 20 m. 7

30-014 Kraków

© ARBITRUSZ SP. Z O.O.